Pod zachodnimi gwiazdami

fot. Krzysztof Kasprzyk

Krzysztof Kasprzyk *(Toronto)*

Nastrój późnego wieczoru. Wino, muzyka, głos doświadczonego mężczyzny w doświadczeniach swoich i innych ludzi. Szukanie prawdy w złudzeniach, w wydaje mi się, w oszustwach i podłych kłamstwach, w odczuwaniu siebie we wspomnieniach tak jakby wtedy już patrzyło się na swe uczestnictwo (przypadkowe/celowe/wymuszone) i na swoje dokonania z boku. Jakby chłodnym okiem reżysera zdarzeń akurat się dziejących.

Parę łez, parę kropel goryczy w tej pięknej melancholii przestrzeni półpustyni i pustyni pełnej, w tym przemierzaniu rozległości, która cię ścieśnia lub rozszerza, gubiąc w drgającej perspektywie horyzontu, gdy widzisz gwiazdy na zachodnim nieboskłonie. I idziesz lub jedziesz naprzeciw wiatrowi, który przeważnie dmie z zachodu przynosząc smak kurzu, tęsknoty, mocno bolących rozmyślań, wzmocnionych kolcami kulistych kłębków krzaków toczonych wiatrem i smagajacych cię po nogach. Wcale nie potrzeba cierniowej korony by doznać i zrozumieć...

Szedłem przez połowę swego życia od Wschodu, nastawiając i wystawiając twarz ku Zachodowi. Od czasu do czasu czułem za plecami czającą się groźbę ze Wschodu, drążącą nieufność, nie raz w najbardziej przyjaznych momentach. Od czasu do czasu czułem przed sobą nadciągający wiatr Zachodu, który w pozornej ufności okazał się sztyletem wbitym wprost w serce moim rodzicom. Oni, ich pokolenie, poczuli się kompletnie oszukani,

przeznaczeni do wymazania z mapy świata. Po Żydach, Cyganach, homoseksualistach i chorych psychicznie a także kalekach, których przybywało coraz więcej, w miarę przesuwania się frontów. Może dlatego kaleki oszczędzono.

I stał się i mój czas doświadczeń, z zasianą wschodnią nieufnością i z okresowym żalem i wściekłością wobec zachodniej obojętności i układności. Bo przecież w Polsce przeważające wiatry wieją stale od zachodu. One mnie nasycały, one mnie przywoływały, one mnie kusiły, one rozwiewały moje tęsknoty, powodując jeszcze większe uczucie żalu. Za Zachodem.

Zachód był mitem, symbolem, tęsknotą, marzeniem. W dusznym Peerelu był spotęgowany aż do bólu, bo czuło się uchodzącą z nas młodość i zdawało się, iż ona niemal w każdej minucie się marnuje, bezpowrotnie wypala. Lata 60. nawołujące do miłości, do układnia się z innym człowiekiem, były w dusznej atmosferze Peerelu falą zawiści i nienawiści, gdzie zmarnowani, zwiedzeni, ogłupiali i zakompleksieni starsi, pluli przeciw nam – za długie włosy, za styl bycia, za swobodę, za zazdrość bycia młodym, a wszystko to wypływało z doświadczeń wojennych.

Z lęków skrajności wyboru, z poczucia tchórzostwa, z dekowania się większości ludzi w oddaleniu od krwawego kła i pazura wojny, byleby tylko przetrwać. Potem także, przez niemal całe pokolenie, z racji zakisłej niby-stabilizacji, w jeszcze bardziej

podgniłym poczuciu “wolności”. I próbowali to odreagować na nas, przy okazji nas zatruwając. Dzisiejsza nienawiść nie wzięła się znikąd, nie przyszła nagle. Ona się nawarstwiała, umacniała aż wpadła w ręce sprawnych iluzjonistów, wypłynęła szeroką strugą i chlusnęła nam prosto w twarz.

Mając za plecami Wschód, w którym znajdowałem pośród ruin, pogorzelisk, stosów kości czystej wody diamenty oporu i hardości, dumnego człowieczeństwa, z tym bagażem dobiłem do Zachodu. I czuję się niesłychanie wzbogacony tamtym zza pleców i tym, z czym musiałem się zmierzyć prąc pod zachodni wiatr. W jego strużynach wyłapywałem to czego od lat pragnąłem i czego oczekiwałem – niezależności, swobody z jednoczesnym układaniem się z drugim, zanurzonym w innej kulturze, w innym oglądzie świata.

Najpiękniejsze i najwartościowsze było wykrywanie tych samych, człowieczych punktów odniesienia, by się ułożyć i serdecznie dogadać. Zaznałem tego najpierw w Berlinie, a w całej rozciągłości w Toronto. Przeto nigdy nie opuści mnie wdzięczność do bycia w takim miejscu, gdzie człowiek dla innego jest wciąż człowiekiem, nie mając jednocześnie złudzeń, co do sposobu urządzania nam życia przez tych rozkraczonych na górach pieniędzy, władzy i zaszczytów. Tych pozwalających nam dalej żyć złudzeniami wyniesionymi stamtąd – ze Wschodu. A także z rozharatanego, zwyrodniałego biedą i przemocą,

Południa.

Północ z samej swej natury jest nieprzyjazna, zimna, niedostępna w wielkich ostępach pustaci, gdzie możesz zaniknąć z kolejnym oddechem. Na jej przedpolu zbudowano forpocztę zadufanej w sobie Cywilizacji – dostatku, szczęśliwości i wygodnictwa, popartych umiejętnością opanowywania się w ostatnim momencie. I dlatego z Południa i Wschodu płyną rzesze ludzi do krain obiecujących nie tylko ocalenie, ale i przetrwanie. Płyną topiąc sie masami, ich ciała puchną na wybrzeżach obietnic. Brną przez piaski półpustyni i pustyni składając kolejne, wybielone kości na ołtarzu tęsknot ludzkości – za lepszym życiem.

Czasem w ostatnim momencie dobiegnie ich głos doświadczonego mężczyzny, w doświadczeniach swoich i innych ludzi.

Wieczór z Bruce Sprigsteenem, słuchając jego nowego albumu „Western stars”:

https://www.youtube.com/watch?v=_IXzAAKrsFE&list=PLgaFNC_I_Zknl28UQScBxaKJTYYClAdUh&index=4